

Tracz, Marian

Dlaczego Pruszków?

Przegląd Pruszkowski nr 2, 46-56

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dlaczego Pruszków?

Po raz drugi już mnie to spotkało. Argumentacja także identyczna.

- Jesteś pan kierownikiem nie byle jakim. Kierujesz pan zespołem ponad pięćsetosobowym. Wydział Wodno - Ściekowy w Płockiej Petrochemii to nie bagatela. Samych inżynierów podlegających panu i to młodych inżynierów, naliczyliby można kilkunastu, nie mówiąc o kilkudziesięciu technikach. Pan cieszy się znacznym autorytetem, pan nimi kieruje, pan ma na nich znaczny wpływ. A pan nie należy do partii. My tu w naszej partii potrzebujemy takich ludzi, jak pan, panie inżynierze. Niech pan sobie uświadomi, jaki pan będzie miał wpływ, o ile większy i to nie tylko na podwładnych, ale i na kolegów, inżynierów, na równorzędnych do swego stanowiska. Pan powinien należeć do organizacji partyjnej.

Tak samo się agitowało około siedmiu lat wcześniej, gdy pracowałem w Goczałkowicach, gdzie kierowałem całym rejonem wodociągów i zaporą, gdzie załoga mnie podlegająca liczyła nie mniej niż pięciuset pracowników.

Tak samo wtedy, jak i teraz zaczynało się od agitowania bardzo delikatnego, pełnego pochlebstw, pochwał i pokus. Tak samo jednak i wtedy, jak i teraz zdawałem sobie sprawę, że jeśli nie ulegnę, to skończą się delikatności, a zaczną się przykrości. Kierując tak dużym zespołem ludzi nie sposób wszystkiego dopilnować, nie sposób uniknąć niepowodzeń czy to technicznych czy organizacyjnych, czy w dziedzinie współpracy, a przede wszystkim w dziedzinie decyzji. Jak sprawy dojrzeją do zaostżenia, to nie pomogą logiczne czy techniczne argumenty, chociażby najślusniejsze.

A w Płocku, na dobitek, parol na skaptowanie mnie do partii zagięło moich dwu podwładnych, jeden młody inżynier i jeden technik. Jakby jeszcze rzeczywistość za mało paradoksów nam dostarczała, to ten młody inżynier swoje dzieciństwo spędził na zesłaniu, wprawdzie nie w lagrach, ale na dalekiej Syberii, gdzie jego rodzice musieli jakoś tam wegetować. I taki to młody narybek techniczny musiał się popisać aktywnością w poszerzeniu naszej przewodniej siły narodu. Zbytniej pretensji do nich nie można było mieć, bo rozkaz skaptowania kierownika, tak znacznego wydziału dostali jako polecenie partyjne i cóż mogli począć. Musieli mnie agitować.

Cóż mi pozostało?

Do POP nie chciałem nadal się zapisać, chociażby z tego powodu, że by nie narazić się na publiczne kajanie:

- Dlaczego to tak późno, już przecież w średnim wieku, zmądrzałem?

Bo w ceremoniale oficjalnym, w trakcie przyjmowania do organizacji partyjnej, każdy z jej członków miał prawo stawiać kandydatowi pytania. A sam ceremoniał zadawania pytań wykorzystywany był przez przeróżnych karierowiczów do popisywania się swoją gorliwością partyjną i swoją dbałością o czystość ideologiczną. Jednym z najczęściej zadawanym pytaniem, szczególnie przez młodych członków partii, kandydatowi już w statecznym wieku było właśnie to, zmierzające do zmuszenia delikwenta do tłumaczenia się publicznego, dlaczego to tak późno, w tak podeszłym wieku, decyduję się. Inaczej mówiąc, sprowadzało się to wszystko do jednego: dlaczego tak późno zmadrzałem.

Nie było wyjścia, jak powtórzyć to, co zrobiłem wcześniej: trzeba się przenieść w inne miejsce, w inne środowisko. Zdecydowałem się na złożenie wypowiedzenia, krok karkołomny, ale nie całkiem. W początkowych czasach "gierkowszczyzny" zapotrzebowanie na kadry rosło w tempie postępu już nie arytmetycznego, ale logarytmicznego. O zwykłą pracę było łatwo, trudno było o dobrze płatne stanowisko.

Rozglądając się przez trzy miesiące wypowiedzenia natrafiłem na ogłoszenie w gazecie anonsujące zapotrzebowanie na technologa wody i ścieków w Pruszkowie. Ofertę wysłałem i chwyciła.

Nie obyło się bez anegdotycznej sytuacji, ale to już po kilku miesiącach, gdy władze miasta umyśliły podnieść swój prestiż poprzez podzielenie jednego Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej na kilka. Do MPGK z nazwą dotychczasową miało pozostać paranie się ze śmieciami i szambami wraz z zmiataniem ulicy, a nowo powołane jednostki miałyby zajmować się: jedno sprawami zieleni i pogrzebów, drugie sprawami dostawy wody i odbiorem ścieków, a także, co było nowością, oczyszczaniem tychże. A więc powstawało Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji w Pruszkowie.

No i wtedy to powzięto zamiar, by w tym nowym przedsiębiorstwie sprawy techniczne powierzyć temu inżynierowi chemikowi, co to z Petrochemii w Płocku odszedł, a zechciał zamieszkać w podwarszawskim Pruszkowie. Zastępca dyrektora, to było już stanowisko nomenklaturowe, a takie obsadzone mogły być jedynie za zgodą pierwszego sekretarza miejskiej i powiatowej organizacji partyjnej. Zostałem więc wezwany do urzędu miejskiego na rozstrzygającą o wyborze rozmowę. Zawitałem przed oblicze trzech najważniejszych w Pruszkowie person. A byli to panowie Wierzchowski, Narowski i Pieścik. Przywiódł mnie na tę wizytę dyrektor dotychczasowego MPGK pan Gil.

Rozmowa zapoznawcza typowa. Coś się tam omawiało, jak to ma być, coś tam zapytywano, jak sobie to wyobrażam, taka zwykła typowa, rutynowa mowa.

Zdawałem sobie sprawę, co nastąpiło, znałem dobrze zwyczaje i nawyki panujące wśród lokalnych notabli, więc, by w przyszłości nie wpakować się w niepasujące do mego usposobienia sytuacje, postanowiłem od początku jasno określić swoją pozycję. Po pierwsze, zadeklarowałem, że robotę fachową, a więc techniczną i organizacyjną podejmę lojalnie, że zdaję sobie sprawę, że naczelnym dyrektorem powinien być ktoś należący do partii, więc jest mi zupełnie obojętne, kto to będzie. Aspiracji do zajęcia tego pierwszego miejsca nie mam i postaram się zwierzchnika szanować. Że wiem dobrze, iż naczelnym może być i człowiek niepartyjny, ale, że o wiele lepiej jest, gdy takowy do organizacji partyjnej należy. Że wtedy łatwiej jest kierować przedsiębiorstwem, bo zaufanie władz zwierzchnich do takiego dyrektora nie ulega osłabieniu.

W tej dyskusji o przynależności partyjnej delikatnie nadmieniłem, że już jestem w wieku, a zbliżałem się do pięćdziesiątki, w którym nie mam zamiaru do partii wstępować i proszę, by o tym pamiętano i nie próbowano mnie namawiać.

Przewodniczący rozmowie towarzysz Wierzchowski nawet szybko moje racje zrozumiał i bez większych wywodów stwierdził, że tak może być.

I tu, zachęcony tak szybkim zrozumieniem moich racji, postanowiłem za jednym zamachem załatwić przyszłość drugiej sprawy, wynikającej z osobistych fanaberii. Ni mniej ni więcej, nie zastanawiając się zbyt długo, jakie słowa do treści dobrać, nie przemyśliwując, jak to będzie odebrane, oświadczyłem, że ja jestem absolutnym abstynentem i żadnego alkoholu nie piję, nawet piwa. Kompletny abstynent. I tu konsternacja. Wszyscy zamilkli, spozierają po sobie, a towarzysz Wierzchowski najpierw głęboko zaczerpnął powietrza, a potem wygłosił replikę:

- A kto to panu nagadał, że my tu tak mocno popijamy, bo oświadczenie, które pan nam tu zaaplikował, nie inaczej można zrozumieć.

Cóż? Popęlniełem gafę. Przeprosiłem. Zwaliłem wszystko na niezręczność. Dodatkowo to moje stwierdzenie świadczy, że na naczelnego zupełnie się nie nadaję, że w dyplomacji jestem niedołągą i, że nikt mi tu bajek o alkoholizmie w Pruszkowie nie naopowiadał, że tylko sam z siebie chciałem określić swoją osobowość na przyszłość, mając na uwadze nie Pruszków, ale to, co zaobserwowałem w poprzednich miejscach pracy i zamieszkiwania. Jakoś te moje przeprosiny oficjele pruszkowscy przełknęli. Nie musiałem szukać sobie nowego miejsca pracy. W Pruszkowie zostałem. Ale angażujący mnie dotychczasowy dyrektor MPGK pan Jan Gil nieco podpadł, o czym w przyszłości mieliśmy się przekonać. A współpraca między dyrektorem MPGK a pierwszym sekretarzem miasta i powiatu nie układała się dobrze, to fakt. Już wcześniej towarzysz dyrektor Gil gdzieś tam wyraził, mniej więcej tak:

- Co mi tu jakiś tam magazynier będzie polecał!

Bo towarzysz Wierchowski przed zajęciem stanowiska "pierwszego" w mieście i powiecie był dyrektorem magazynów państwowych w Pruszkowie. A to stanowisko nie było tak ważne i w mieście nawet nie wiele osób o nim wiedziało. Ba, wiedzę o tym przedsiębiorstwie czymś takim starano się nawet utajniać. Gdzieś tam te magazyny były, specjalnie ukrywane po drugiej stronie torów, na uboczu miasta, a nawet na uboczu najmniej znanej w mieście dzielnicy, jaką był wtedy i jest do dziś Gąsin, który swego charakteru wiochy dotychczas nie zatracił. Animoszji między Gilem, a Wierchowskim być może nie wywołałem bezpośrednio ja, ale mimo, że były one wcześniejsze, to - jak przypuszczam - towarzysz Wierchowski do końca nie pozbył się przypuszczenia, że to nieprzyjazny mu Gil tego Tracza tak uprzedzająco nastawił. Przez sporo lat miał Gil nieprzychylny stosunki z "pierwszym" i zaznał wiele goryczy.

Skoro więc osiadło się w tym Pruszkowie, które to miasto od pierwszego wejrzenia charakteryzuje się specyficznym nastawieniem swego wyglądu i swego systemu żywotności, jako przedmiejska ulicówka Warszawy i jako sypialnia ludzi w Warszawie pracujących, skoro się tu ulokowało, nie pozostawało nic innego, jak zgłębienie tajemnic gospodarki wodnej i co szczególnie ważne dla tego miasta; gospodarki ściekowej. A tajemnic tych okazało się mnóstwo.

Zacznę od wody. Miasto wonczas, w latach przełomu sześćdziesiątych na siedemdziesiąte, czerpało wodę z podziemia gdzie się tylko dało, gdzie się tylko mogło i czerpało, co tylko się dało. Studnie i studnie. Prywatne, przydomowe, podwórzowe, społeczne, uliczne, przyzakładowe i fabryczne. Trafiały się studnie kopane, skąd wodę wyciągało się wiadrem, ale żurawi już nie było. Te kilka studni kopanych, ocembrowanych kręgami betonowymi, zlokalizowane na Żbikowie i Gąsinie były zasypywane i nawet przydarzało się, że służyły za miejsca ukrycia zwłok zamordowanych Pruszkowianek.

Cała za to plejada studni wierconych umożliwiała czerpanie wody za pomocą pomp ręcznych. I w tym zakresie wiedzy wodociągowej, chociaż niby zaangażowany do Pruszkowa, jako fachowiec douczałem się od tujejszych speców. Dowiedziałem się, że najtrudniejszym problemem w utrzymaniu sprawności tych ręcznych, a ulicznych studni są "manszety". Co to takiego? A to specjalnie wykrojone uszczelki skórzane, które w pompach spełniają rolę taką jak zastawki w sercu, a jednocześnie są podkładkami. Dobry "manszet" z grubej wołowej skóry, dobrze wygarbowanej jest jednocześnie na tyle miękki, że dociśnięty pierścieniem żeliwnym uszczelnia wszelkie szpary i jednocześnie jest na tyle sprężysty, że gdy nacisk pierścienia zelżeje, to klapka "manszetu" odchyła się i woda może

przeptywać. No i co za problem z tymi kawalkami skór? Ano taki, że te skóry sprzedawane w handlu uspołecznionym albo zatracają sprężystość, albo zatracają miękkość. I pompa zacina się, lub woda nieszczelnościami ucieka i ludność wnosi do władz miasta skargi, że wody brak. A władze od tego mają swoje miejskie przedsiębiorstwo, by o studnie dbało.

No i wtedy trzeba, by robotnicy na czele z "Rurką" studnię rozkręcali, "manszety" wymieniali, a za kilka dni podobna "polka" zaczynała się od nowa.

Jaka na to rada? Ano, "manszety" kupione u prywatnego rymarza są ze skóry dobrze wyprawionej i pracują w tych trudnych warunkach, namaczane ciągle wodą, nawet i kilka miesięcy. Ale na zakupy u prywatnego rymarza nie można sobie pozwolić, bo każdy taki zakup wymaga zezwolenia jakichś tam władz zwierzchnich, zdaje się, że Wydziału Handlu. A ten zaraz żąda zaświadczenia, że w handlu uspołecznionym tego towaru brak. A handel uspołeczniony zaświadczenia takowego nie wyda, bo "manszety" na składzie ma. No i koło się zamyka. Tak to zostałem nauczony podstawowych zasad ekonomiki socjalistycznej. A nauczył mnie tego pan "Rurka", który podobno nosił kiedyś nazwisko Stanisław Płuciennik, ale o tym już nikt nie pamiętał.

Ale wszyscy znali "Rurkę" jako brygadzystę i od studni, i od kanalizacji, i od wszystkiego. Skąd się wzięło to jego przezwisko, po długich dociekaniach dowiedziałem się. Gdzieś tam, kiedyś - w jakimś tam zakładzie pracy pracujący jako hydraulik pan Płuciennik zamieszany był w przywłaszczenie zdemontowanego starego bojlera i jak się sprawa wykryła, to reszta braci robotniczej, widząc rzucające się w oczy podobieństwo postury Płuciennika do tego kradzionego bojlera, zresztą przeznaczonego na złom, zaczynała go tym mianem nazywać. Pan Płuciennik przeczywiście niski i prawie szerszy niż dłuższy przypominał nadęty bojler. Ale, że tak dosadne w podobieństwie nazwanie nie bardzo mu odpowiadało, więc uprosił wszystkich towarzyszy pracy, by go nazywali jakoś inaczej, jakoś znośniej i sam podpowiedział:

- Nazwijcie mnie chociaż rurką - i tak zostało.

A jemu została wieczna tęsknota do szczupłej sylwetki.

Nie miał szczęścia chłop, bo nie umiał zorganizować wyniesienia z zakładu pokaźnych przecież rozmiarów starego, zużytego bojlera do podgrzewania wody. Widać postanowił, że nie wystarczy mu wynoszenie z pracy drobnych akcesorii hydraulicznych. Zapędy do wyniesienia czegoś większego niż zawory, mufki, zwężki, kolanka czy rurki nie udały mu się i zrezygnowawszy z aktywności robotniczej na większą skalę, wrócił do zwykłej rurki. Czy z tymi ciągle psującymi się w pompach ręcznych "man-

szetami" było tak, jak relacjonował znany wszystkim i przez wszystkich lubiany brygadzysta, tego na pewno nie wiem. Przecież co ci dwaj robotnicy do środka cylindra w studniach zakładali, na to nikt nie patrzył. A czy ktoś zaręczy, że oni montowali tam części zamiennie nowe? A czy nie mogli stare "manszety" nieco przesuszzone na nowo wmontowywać, a te nowe sprzedawać prywatnym rzemieślnikom zajmującym się wierceniem i ustawianiem nowych studni? Przecież to był powszechny proceder, umożliwiający zdobywanie potrzebnych materiałów i części zamiennych przez nie posiadający "chodów" prywatny sektor rzemieślniczy w wielu dziedzinach. Przecież w kalkulacjach robotników poszukujących nowego miejsca pracy, jednym z decydujących czynników wybrania tego czy innego zakładu pracy przewijał się, jakże często, motyw określany pytaniem:

- A co stamtąd można wynieść?

Wiercono więc dziury w ziemi w Pruszkowie, by dobrać się do wody. I pod tym względem Pruszków nie był sobie takim miastem bez żadnej specyfiki. W wielu przecież miejscowościach woda pod ziemią na pewnej głębokości jest i jeżeli wykopie się dziurę w ziemi dostatecznie głęboko, to można wodę czerpać nawet dla zasilania dużych miast.

Ale w Pruszkowie jest inaczej. Pod powierzchnią ziemi, na głębokościach nie sięgających ponad stu metrów, struktura pokładów jest tak różnorodna, tak skomplikowana, że nie sposób niczego przewidzieć i każde wiercenie połączone jest ze znacznym ryzykiem. Są pod ziemią pruszkowską piękne piaski, nawet piękne żwirki, ale też są zbite i zwarte gliny czy ropy zupełnie pozbawione wody i wcale tej wody nie przepuszczające. Są też grunty tak pyliste, że pyły te w wodzie prawie nie opadają. W studniarstwie najważniejsze jest dotarcie do pokładu piasków wodonośnych. Ale tu w Pruszkowie i te bywają przeróżniaste. Jedne bielutkie, czyściutkie, aż lśniące, inne brudne, a przede wszystkim zażelazone, co widać po ich rudej barwie.

Te bakterie żelaziste pracowały przez miliony lat a ich efekt życiowych potrzeb widać do dziś, zarówno w zabarwieniu piasków, jak i w porożrzucanych po polach znacznych ilości skamieniałych rud darniowych. Ta duża ilość brył limonitu, pałętających się po polach w okolicach Pruszkowa, szczególnie na terenach niżej położonych, była podstawą do powstania tu całego zagłębia pierwotnego hutnictwa żelaza w czasach zamierzchłych. Dzięki temu mamy wspaniałe Muzeum Hutnictwa Mazowieckiego w Pruszkowie.

Ale też te bakterie zażelazały nam wiele wód podziemnych. Z takich to względów wiercenie studni w Pruszkowie nie było przedsięwzięciem prostym, łatwym i przyjemnym, a przede wszystkim było najeżone kosztownymi niespodziankami. Bo jak taki majster Knobloch, a wwiercał się w zie-

mię prywatnie, dostał zlecenie od miasta na uszczęśliwienie iluś tam działków mieszkańców kilku ulic, to zlecenie musiało być najpierw określone w kosztach. A jeśli wiertacz trafił dobrze, to była woda i wszyscy się radowali. Ale jeśli wierząc, nie mógł przewiercić zwałów gliny i wody nawet na czterdziestu metrach nie znalazł, to urzędnicy miejscy czy dyrektor MPGK mieli straszny dylemat:

- Co robić? Jak zdecydować?

Czy machnąć ręką na wyrzucone pieniądze, czy ryzykować i to podwójnie. Bo to nie tylko zwiększone koszty, ale i przekroczenie przepisów, bo na wiercenie głębszej niż 30 metrów trzeba mieć specjalne zezwolenie oparte na dokumentacji hydrogeologicznej, a to nowy koszt i przesunięcie terminu o lata.

Na tym przykładzie uświadommy sobie, jak to zaradni wypracowywali cały system napędzania dodatkowych zarobków, a inaczej mówiąc łapówek. Kto taką dokumentację mógł wykonać szybko? Ano pracownik urzędujący w miejscu, gdzie udzielano takiego zezwolenia. Dostawał pracę zleconą i dorabiał sobie nieźle. A takich bardzo ważnych instytucji było mnóstwo a i dziś ich też nie brakuje.

Najlepiej jednak nie udzielać zlecenia prywatnemu wiertnikowi, ale wynajmując firmę państwową. Tylko, że firmy te ani myślą przyjmować zleceń na jakieś tam, byle jakie studnie dla ludności. Oni i tak są zawalani zamówieniami i przeroby mają zapewnione na kilka lat wprzód.

Nie pomogło, a zdawało się, że to było posunięcie i chytre, i przemysłne: zaproponowanie w ramach tak modnej deglomeracji terenu w środku miasta, na bazę sprzętową dla Przedsiębiorstwa Hydrogeologicznego. Bazę sobie zabudowali, nagromadzili zwały żelastwa wiertniczego, przeróżnych rur na obszernych placach w pobliżu bocznycej kolejowej, ale wiercić studni dla Pruszkowa ani myśleli.

Takie to były dylematy. I do dziś w sąsiedztwie ulic Pruszkowa można znaleźć ślady studni, a są one w formie sterzących betonowych studzienek odeklowanych także betonowym plackiem.

Studni więc w Pruszkowie było mnóstwo, ale były tu już zaczątki wodociągów i to nawet miejskich.

Systemy wodociągowe obejmowały pewne zwarte osiedla. A więc osiedle ZOR postawione z murowanych, ceglanych bloków między ulicą Kraszewskiego, a ulicą obecnie Armii Krajowej, nazywaną wtedy ul.17 Stycznia, a jeszcze wcześniej Drogą Pęcicką.

I na przykładzie systemu wodociągowego tego osiedla można dokładnie zilustrować jedno z praw Parkinsona. A brzmi ono tak: "jeśli jakieś przedsięwzięcie od samego początku jest sknocone, to każda zmiana, każda próba poprawy tego, co złe, sprowadza jeszcze dalsze i większe pogorszenie".

A pierwszy knot, to wywiercenie dwu studni na osiedlu, ale tak blisko siebie, że jak się czerpie wodę z jednej, to i w drugiej wody brak. To rozwiązanie wydawało się ówczesnym twórcom genialne, a ich twórczość miała miejsce w latach pięćdziesiątych.

Co było w zamiarze genialne?

1/ Po odwierceniu pierwszego otworu i stwierdzeniu, że woda jest dobra i nie zażelaziona, aby nie ryzykować niepowodzenia, następny odwiert zlokalizowano o kilka metrów od pierwszego. Nie potrzebowano nowej dokumentacji wstępnej hydrologicznej, bo ten drugi odwiert będzie przecież geologicznie powtórzeniem pierwszego. Rozumowanie idelanie słuszne.

2/ Otwory studzienne będą w tej samej strefie ochrony sanitarnej, w tym samym, jednym ogrodzeniu. Znowu oszczędność.

3/ Zasilanie dwu studni jednym kablem elektrycznym.

4/ Rurociągi odprowadzające wodę ze studni tak samo krótsze o połowę.

5/ Nadto fakt, że firma wiertnicza raz osadzona nie musiała przenosić swego zaplecza, a przesunięcie czwórnoga wiertniczego na niewielką odległość czyż nie zasługiwało na aplauz? Jakie to oszczędne!

Czy tyle oszczędności w kosztach budowy nie jest genialne? Ale te wspaniałości wynikające z tak bliskiego sąsiedztwa studni, wywołały konieczność zbudowania na osiedlu zbiornika na wodę. A w zbiorniku woda zimą może zamarznąć, musi być ona ocieplona, a więc pod ziemią.

Wpakowano więc masę betonu w podziemny bunkier i sprawa załatwiona. Wtedy to brać robotnicza nie wypracowała jeszcze tak doskonałych metod kradzieży materiałów budowlanych, bo to były początki socjalizmu i większość narodu polskiego jeszcze kierowała się moralnością przedwojenną. Dlatego to ów zbiornik podziemny tkwi do dziś na osiedlu nienadgryziony. Beton ówczesny jest mocny i solidny.

Pompy głębinowe ze studni posyłały wodę do zbiornika, gdzie w nocy nalany do pełna tworzył zapas na dzienny zwiększony odbiór wody. Zbiornik uratował nieco mankament zbyt bliskiego sąsiedztwa studni.

Ale ze zbiornika podziemnego na piętra osiedla woda sama nie popływnie. Trzeba ją ponownie pompować i to tak, by utrzymywać równe i stałe ciśnienie. Kolejarze na swojej stacji w Pruszkowie ten problem rozwiązali sobie naprościej, bo zbudowali wysoką wieżę ciśnień. Ale, że ta wysoka budowla służyła za cel armatom w czasie działań wojennych, budziła ogólne zniechęcenie. Tak więc nastroje antywojenne powodowały ogromną niechęć do budowania czegoś takiego, co i pociskiem armatnim łatwo uszkodzić i co dla nieprzyjaciela może służyć jako obiekt orientacyjny. A lobby wojskowe, jakbyśmy to teraz nazwali i w budownictwie miało

swoje przemożne znaczenie i to niejednokrotnie decydujące. Tak więc na osiedlu nie dopuszczono do budowy wieży ciśnień. To przecież przestające rozwiązanie, bo to kosztowne, bo to materiałochłonne i wiele innych bo to, bo tamto...

Równomierność ciśnienia w sieci wodociągowej zapewni zbiornik hydroforowy. A, że w takim zbiorniku w zimie woda może zamarzać, to hydrofor ulokuje się w piwnicy budynku najbliższego i studni, i bunkra na wodę. Pruszków miał szczęście. Zbiorniki ciśnieniowe, dwa stalowe baniaki, znaleziono gdzieś tam bardzo szybko, kiedy piwnice tego nowego budynku jeszcze nie były ukończone. Jak to łatwo wtoczyć na betonową posadzkę piwnic taki olbrzymi baniak, gdy ani murów nie tylko budynku, ale i ścian piwnicznych jeszcze nie wykonano. Znowu wspaniała oszczędność kosztów budowy.

Obok hydroforów usytuowało się odpowiednie pompy wytwarzające ciśnienie, zabudowano tam też niewielkie gabarytowo sprężarki do zasilania w powietrze w hydroforach. Uzbrojono pomieszczenie piwniczne w armaturę i wszystko wspaniale grało.

Uruchomiono wodociąg osiedlowy i wszyscy bardzo się cieszyli z tego grania. A grało dośownie.

Bo pompy wirowe usytuowane na podłożu betonowym w swoim nieustannym ruchu grają wspaniale, a właściwie to wyją niemiłośniernie. Głos się szerokim echem po murach bloku rozchodzi, rury prowadzące wodę jeszcze temu wspaniałemu graniu starają się dopomóc jak mogą i cały blok gra.

W tamtych czasach, w latach pięćdziesiątych, ludzie którzy byli wyróżnieni otrzymaniem mieszkania w tak wspaniałych blokach zorowskich, tak byli uszczęśliwieni, że gdzie im tam w głowach mogła zaświtać jakaś myśl o grymaszeniu. Przecież całe miasto im zazdrościło. Niechby tam który ośmielił się wskazać na jakiś mankament w tym największym uszczęśliwianiu społeczeństwa przez władzę socjalistyczną. Toż to byłby horror, niewdzięczność. Znosili więc nieszczęśni mieszkańcy tego bloku w cichości i pokorze brak chwili ciszy w swoich mieszkaniach. Pompy wyły.

Czasami automat je wyłączał. Jakaś ulgę odczuwał spracowany robotnik, gdy mu hydrauliczna muzyka przerywała swój koncert.

Aliści w miarę upływu lat urzędzenia tego wodociągu zaczynały się psuć. Pompy nawalały. A to wysiadał "kuplung", a to dławice się wycierały lub zapiekały i masa innych bardzo skomplikowanych czynników wywoływała przerwy w ruchu tegoż wodociągu. Coraz częściej coś się tam psuło, coraz trudniej było dostać części zamienne, szczególnie do pomp i coraz częściej osiedle pozbawiane było wody. To był naprawdę trudny problem i martwili się nim nie tylko dyrektor, nie tylko kierownicy, ale i

majstrowie i robotnicy. Ale znaleźli rozwiązanie. A było ono ryzykanckie. Nie zasięgając opinii wysoko wykształconych inżynierów, nie rozważając teoretycznie, wykonali przepinkę z rurociągu podającego wodę ze studni do zbiornika z przewodem zasilającym osiedle. Niech pompy studienne, te głębinowe, tłoczą wodę wprost do sieci. I wyszło. I udało się.

Wprawdzie ciśnienie nie takie, jakie potrzeba, ale woda dochodzi w blokach nawet na pierwsze piętra, a w nocy nawet wyżej. Wynalazek ten wymyślił pan Frej, majster wodociągowy, a przepinkę wykonał spawacz Gieniek Tomczak, co spawał świetnie, ale tylko gazowo, a elektrycznego spawania bał się jak ognia. I niepotrzebny okazał się ten betonowy, podziemny zbiornik na wodę i te hałaśliwe pompy drugiego stopnia też na stałe ucichły. Ale o tym też było cicho, bo bez żadnych uzgodnień.

Wtedy to, w końcu lat sześćdziesiątych już do całego osiedlowego systemu wodociągowego zaczęli dobierać się różni, bardzo ważni kontrolerzy z Warszawy. Głównym powodem tego nawału przeróżnych kontroli była bliskość Pruszkowa z Warszawą. Kontrolerzy bardzo ważnych instytucji dostawali surowe polecenia, by kontrolować prowincję, bo im zarzucano wygodnictwo i zasiedziałość w jakże miłej stolicy. Należy ruszyć w teren. Taki Pruszków pasował idealnie. Kontroler sobie pociągami na godzinę lub dwie przyjeżdżał, coś tam obejrzał, no i zaraz do domu wracał. A dobieranie się tych kontrolerów polegało na stawianiu żądań. Nie wystarczało im stawianie kawki, więc wygrymaszali. Przed wszystkim gdzie dokumentacja. A to gdzie zezwolenia UDT, boć te baniaki mają poduszkę powietrzną i są pod ciśnieniem, a w pobliżu robotnicy coś sobie robią. A to czemu woda nie jest chlorowana. A to jak są zorganizowane planowe remonty. A to jak odpisy amortyzacyjne w księgowości współgrają z rzeczywistością techniczną. Takich wymagań wywlekano coraz więcej. Najważniejsze było jednak to, że całkowicie zmieniono pierwotną technologię, że pompowano wodę do budynków wprost bez pośrednictwa zbiornika i drugich pomp w tej piwnicy.

Ale kontrolerzy nie połapali się w tym. A układ personalny był taki, że nikt im tego nie zdradził. Oględziny szczegółowe nie mogły tego wykryć, bo wszystko pod ziemią i uszczelnione. A wizja pompowni w piwnicy niczego nie zdradziła. Jedynie co zarzucono, to, że był tam bałagan. A jak nie miało go tam być, skoro to była baza obsługi wodociągów, i szatnia, i warsztat, i magazyn, i jadalnia, i popijalnia, i dyżurka. I to nie tylko monterów wodociągowych, ale i elektryków, a była tam też montownia trójkołowego samochodu, bo takie hobby miał majster.

A więc nieprawidłowości aż nadto. Tłumaczono się też wymyślając ile tylko wlezie powodów, a głównie reorganizacją i tworzeniem przedsiębiorstw.

A wszystko było podporządkowane jednemu celowi: aby przetrwać, aby dalej, to rozwiązanie w końcu jakies się znajdzie. Już najbardziej ab-

surdalne było żądanie, by zmienić w tej piwnicy hydrofory. Jak? Rozwalać ściany nośne w bloku mieszkalnym?

A władze zwierzchnie nie mogły się zdecydować, jakie mają być źródła zasilania w wodę tego położonego na "Lewej Podstołecznej" zespołu miast. Czy ujęcie wody podziemnej z tak zwanej "Rynny Brwinowskiej", czy tłoczyć wodę długachnym rurociągiem z Warszawy. Obie koncepcje miały masę wad i także masę zalet.

Nawiercono kilkadziesiąt otworów o głębokości kilkudziesięciu metrów i stwierdzono, że kiedyś tam przed milionami lat lodowiec wyrzeźbił wielką zapaść podłużną, która się zapełniła piaskiem i żwirami, co spowodowało, że jest tam woda. A rynna ta ciągnie się pasem od Książenic za Grodziskiem przez Żółwin, Podkowę Leśną, Kanie, Brwinów aż do Święcic. To tę wodę należy ująć dla zaopatrzenia miast w zachodnim rejonie podwarszawskim. Ale wodę tę trzeba uzdatniać, bo zażelaziona i zamanganiona. To jeszcze nie zniechęciło decydentów do poniesienia takiego zamiaru. W Kaniach zbuduje się wielki SUW i woda popłynie. Aliści wspomniana Podkowa Leśna to nie byle jaka osada. Tam miało swe wille wielu ludzi coś znaczących. I ktoś tam rozpropagował pogląd, że jak się tyle wody z pod ziemi w tym rejonie będzie czerpać, to na powierzchni może jej zabraknąć. A tam w Podkowie istnieje piękny rezerwat leśny, a drugi zakrzaczony. I piękny las dębowy uschnie. A jak na coś takiego zareaguje Iwaskiewicz, gdy mu Stawiska wyschną? Taka obawa utraciła wszelkie argumenty. Pruszków dostanie wodę z Warszawy.

Na to tylko czekali zwolennicy siania psychozy zagrożenia atomowego. Bo jeśli Wisła zostanie skażona promieniotwórczo, to co będzie w tym czasie piła Warszawa? Ano niewiele, ale zawsze z rejonu pruszkowskiego uruchomi się wszystkie studnie czerpalne i tym rurociągiem poda się wodę do Warszawy. Przypomniano, jak to bezpośrednio po wyzwoleniu zburzona Warszawa właśnie z Pruszkowa, z jego elektrowni dostała pierwszy prąd.

Bo Pruszków posiada już teraz trzy dość znaczne systemy wodociągowe z lokalnych ujęć wody podziemnej, a znalazłoby się jeszcze kilka innych.

Oprócz tego opisanego wodociągu osiedla ZOR jeszcze swoje ujęcia miały osiedla Śródmieście, Kopernika, Ostoja, Dwudziestolecia i wiele zakładowych. Te podstawowe ujęcia wodociągowe Śródmieście i Parkowa do dziś w czasie awarii rurociągu warszawskiego zasilają chociaż partery w całym Pruszkowie.

Tak samo systemy ujęć wody, obecnie awaryjne, od początku przedstawiały wzorowy wygląd i nawet wprawiały w zdumienie kontrolerów, którzy porównywali je z poprzednimi. A dlaczego tu mogło być i porządnie i z zachowaniem kultury technicznej, to już całkiem inna historia.